

## 20 LAT W SŁUŻBIE NAUCZYCIELI

Do instytucji wojewódzkich, które w ubiegłym roku obchodzą większego rozgłosu dwudziestą rocznicę swego powstania i dwudziestolecie działalności należy Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Rzeszowie.

Była ona jedną z pierwszych bibliotek tego typu w kraju, które rozpoczęły swą pracę w pierwszych tygodniach po zakończeniu działań wojennych na ziemiach Polski. Do jej organizacji przystąpiono już w maju 1945 roku, otwarto ją w czerwcu tego samego roku pod nazwą „Centralna Biblioteka Pedagogiczna Kuratorium Okręgu Szkolnego”, zmienioną w 1951 roku na obecną — „Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka”.

Zadaniem biblioteki było i jest kształtowanie światopoglądu naukowego oraz podnoszenie poziomu ideologicznego i zawodowego nauczycieli i innych pracowników oświatowych, umożliwienie zainteresowanym podejmowania prac naukowo-badawczych z zakresu oświaty i wychowania; prowadzenie poradnictwa i instruowanie bibliotekarzy z zakresu oświaty i wychowania. Biblioteka realizowała te zadania w okresie pierwszego dwudziestolecia swego istnienia przez gromadzenie, opracowywanie i udostępnianie swych zbiorów nauczycielom i innym pracownikom oświatowym województwa rzeszowskiego, a także przez podejmowanie innych prac.

W drugie dwudziestolecie biblioteka wkraczała z poważnym dorobkiem. Jej księgozbiór osiągnął już w 1964 roku 100 tysięcy woluminów i powiększa się każdego roku średnio o 10 tysięcy. Swą liczebnością wysunął się on na czoło wśród bibliotek pedagogicznych w kraju, wyprzedzając pod tym względem zbiory bibliotek województw zblizonych wielkością do województwa rzeszowskiego i większych, jak np. woj. kieleckie, lubelskie, warszawskie, poznańskie.

W bibliotece znajdują się wszystkie ukazywane się w naszym kraju pozycje pedagogiczne i z nauk pokrewnych, w wielkim wyborze wydawnictwa naukowe i popularnonaukowe z różnych dziedzin związane z nauczaniem, dzieła społeczno-polityczne i ekonomiczne w zakresie potrzebnym nauczycielom szkół podległych Ministerstwu Oświaty i literatura piękna w wyborze, głównie lektura szkolna i dzieła klasyków polskich i obcych. Dość pokazną liczbę woluminów księgozbioru tej biblioteki stanowi podstawa i uzupełniająca lektura dla nauczycieli studiujących w różnych wyższych uczelniach naszego kraju oraz książki w językach obcych, zwłaszcza w języku rosyjskim.

Stosunkowo duży zasób książek, jaki zgromadzono w okresie minionego dwudziestolecia, pozwolił bibliotece przyjąć z dużą pomocą Wyższej Szkole Pedagogicznej i jej bibliotekom — głównie i zakładowym — w formie depozytu lub przekazania tysięcy woluminów.

Obok zasobnego księgozbioru biblioteka oddaje do dyspozycji swych czytelników każdego roku ponad 300 tytułów prenumerowanych przez siebie czasopism, w tym wszystkich czasopism pedagogicznych ukazujących się w Polsce oraz dużą ilość czasopism naukowych w języku polskim i w innych.

Dobrze opracowane i stale aktualizowane katalogi ułatwiają orientowanie się w zbiorach biblioteki, wypożyczanie książek i innych zbiorów. Siedmiodniowy tydzień pracy (biblioteka jest czynna także w niedziele) oraz stosowane w szerokim zakresie wypożyczanie korespondencyjne umożliwiają korzystanie ze zbiorów nie tylko nauczycielom odwiedzającym wypożyczalnie i czytelnikom, ale także wszystkim tym, nawet z najodleglejszych miejscowości województwa rzeszowskiego, którzy zwrócą się do biblioteki za pośrednictwem poczty lub telefonu o wypożyczenie książek.

Czytelnikami Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej są od pierwszych dni jej działalności nauczy-

cieli różnych typów szkół z terenu całego województwa, wychowawcy, pracownicy administracji szkolnej, inni pracownicy oświatowi i naukowcy oraz osoby przygotowujące się do zawodu nauczycielskiego. Ich liczba rośnie z każdym rokiem, w 1965 roku osiągnęła 4.000. Wśród czytelników poważny procent stanowią nauczyciele studiujący (35-45 proc. ogółu czytelników w poszczególnych latach).

Biblioteka ma już setki „swych” magistrów, którzy przez cały okres studiów zaopatrywali się w niej w potrzebne podręczniki, skrypty i inne książki zalecone programem studiów na uniwersytetach, w wyższych szkołach pedagogicznych i w innych uczelniach.

W działalności tej pożytecznej placówki nie brak też trudności. Już w chwili obecnej czytelnia tej biblioteki nie może pomieścić chętnych do czytania na miejscu. Jeżeli starania dyrekcji biblioteki o powiększenie lokalu nie przyniosą szybkich rezultatów, biblioteka znajdzie się w trudnej sytuacji.

Tak samo duże kłopoty sprawia pewna część studiujących czytelników. Wypożyczoną w bibliotece książkę naukową przetrzymują niepotrzebnie, a tym samym uniemożliwiają jej wykorzystanie przez innych.

Inną bolączką, na którą biblioteka nie znalazła jeszcze w pełni skutecznego lekarstwa, jest niemożność dotarcia we właściwym czasie do wykazów literatury potrzebnej do studiów zaocznych, wieczorowych i eksternistycznych, a tym samym trudność w planowym uzupełnianiu księgozbioru i nabywaniu tej literatury.

Mimo tych i wielu innych braków Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Rzeszowie jest pożyteczną i cenioną przez nauczycieli placówką, która wnosi duży wkład w dzieło podnoszenia kwalifikacji ogólnych i zawodowych nauczycieli naszego województwa.

FRANCISZEK ŚWIDER

ZDZISŁAW KOZIÓŁ

Z kijowskiego notatnika

## U TYCZYNY PRZED JUBILEUSZEM

Kijów, ulica Ordżonikidze 2, siedziba Zarządu Związku Pisarzy Ukrainy. Adres ten wskazał mi poprzedniego dnia Włodzimierz Skierkowski, pracownik Konsulatu Generalnego PRL. Nie tylko wskazał, lecz także ułatwił niezbędne kontakty. Bez jego pomocy nie mógłbym w toku trzydniowego pobytu w Kijowie spotkać się z tyloma interesującymi ludźmi, zapoznać się z wieloma problemami radzieckiej Ukrainy głównie z punktu widzenia polsko-ukraińskiej współpracy kulturalnej.

O przyjeździe do Kijowa polskiego dziennikarza, który uprzednio gościł dwa tygodnie w redakcji lwowskiej gazety „Wolna Ukraina”, poinformował pan Skierkowski Zarząd Związku Pisarzy Ukrainy. Zamierzałem spotkać się z dziennikarzami i pisarzami, zobaczyć przedstawienie teatralne oraz zwiedzić najważniejsze obiekty zabawkowe Kijowa, jednego z najstarszych miast ZSRR. Jak na trzy dni, program tak bogaty, że aż nierealny... Zamierzałem także zdobyć najnowsze wiersze ukraińskich poetów, o które prosił mnie Jerzy Pleśniarowicz. Pan Jerzy prosił mnie również, abym przekazał jednemu z najwybitniejszych poetów ukraińskich, Pawłowi Tyczyni, książkę Kazimierza Andrzeja Jaworskiego — „W kręgu Kamieny” (w książce tej autor wspomina o twórczości Tyczyzny, który już przed wojną znany był polskim czytelnikom).

Odpowiedź miałem uzyskać wieczorem lub następnego dnia rano, ale w niespełną godzinę, rozmowę na temat dekady książki polskiej na Ukrainie przerwał nam dzwonek telefonu. Tak, to w mojej sprawie. Jutro o godzinie 12 w siedzibie Zarządu Związku Pisarzy Ukrainy, przy ul. Ordżonikidze 2 przyjmie mnie Paweł Tyczyzna.

„Z głębi duszy życzę wszystkim sławnym polskim przyjaciółom wielkich osiągnięć w walce o pokój i postęp Ludzkości”.

PAWŁO TYCZYNA



Idąc pod wskazanym adresem rozmyślałem o czekającym mnie spotkaniu. Twórczość tego poety znam tylko fragmentarycznie, owszem czytałem sporo wierszy, tych z lat rewolucji oraz późniejsze. W pamięci utkwił mi głównie napisany w 1918 roku — „Na majdanie”, który na język polski przełożył Jerzy Pleśniarowicz. Niektóre utwory Tyczyzny czytałem w języku rosyjskim. Ale dorobek tego poety jest olbrzymi, przecież jego rodacy zaliczają go już do klasyków ukraińskiej literatury. W Lwowie słyszałem sporo o tym poecie, i te rozmowy podniecały niejako moją ciekawość, a zarazem wzbudziły treść niczym przed egzaminem. Przez moment czułem się chyba tak, jak radzieccy historycy literatury przed obroną swych dysertacji doktorskich i kandydackich poświęconych twórczości Tyczyzny.

Moje zakłopotanie wynikało i z tego, że jak mi mówiono, jestem od kilku lat pierwszym dziennikarzem zagranicznym, którego ma przyjąć ten sędziwy poeta. Dano mi dyskretnie i taktownie do zrozumienia, a bym nie zameczał zbyt Pawła Hrehorowicza.

Zanim przybył Tyczyzna, sekretarz odpowiedzialny Zarządu ZPU Paweł Zagrebielny, poinformował mnie o zbliżającym się jubileuszu nestora ukraińskiej poezji, który 27 stycznia obchodzi 75-lecie urodzin. W Filharmonii odbędzie się uroczysty wieczór; przewidziane jest przemówienie Ołesia Gonczara, prezesa Zarządu ZPU, a referat o twórczości Tyczyzny ma wygłosić krytyk, Leonid Nowiczenko.

W siedzibie Zarządu ZPU poznałem wielu ukraińskich pisarzy. A więc wspomniany już P. Zagrebielny m. in. autor powieści „Europa — 43” i „Europa — Zachód”, w oparciu o pierwszą z nich nakręcono film pt. „Rakiety nie powinny się wznieść”. Jest on także współautorem scenariuszy filmowych oraz współautorem głównie obecnie w Kijowie sztuki — „Kto za, kto przeciw?”. Sztukę wystawiono obecnie na scenie Rosyjskiego Teatru Dramatycznego im. Łeśi Ukrainki; cieszy się dużym powodzeniem i wzbudza kontrowersyjne opinie.

Poznałem także Piatona Woronko, b. partyzanta Kowpaka, laureata nagrody państwowej ZSRR oraz nagrody republikańskiej im. M. Ostrowskiego za tom wierszy o Bułgarii. P. Woronko jest obecnie zastępcą przewodniczącego Zarządu ZPU. Funkcje te pełnią również Wasyl Kozaczko, były partyzant, znany prozaik oraz Jurij Smołcz, również popularny powieściopisarz.

Nie znam dobrze języka ukraińskiego, rozmawialiśmy więc w języku rosyjskim. Nie był to wywiad prasowy, i raczej nie ja pytałem, lecz odpowiadałem na pytania gospodarzy, którzy żywo interesują się naszym krajem, doskonale znają polską literaturę, a z wieloma pisarzami utrzymują bezpośredni kontakt. Tę wstępną rozmowę przerwało wejście Pawła Tyczyzny. Gdy mnie przedstawił, zapoznałem go z celem mojego przyjazdu do Kijowa oraz złożyłem mu serdeczne życzenia z okazji jego jubileuszu. Sędziwy poeta był bardzo wzruszony, gdy pokazałem mu numer „Widnokregu”, w którym drukowane były jego wiersze w przekładzie Jerzego Pleśniarowicza. Odpowiedział mi prawie poetycką prozą, jego słowa o przyjaźni między naszymi narodami, o konieczności rozwijania współpracy w dziedzinie kulturalnej nie miały nic z deklaracji, wspominał z rozrzwinięciem o swych osobistych kontaktach z Polską i polskimi pisarzami, szczególnie dużo uwagi poświęcając Leonowi Kruczkowskiemu. Żałuję bardzo, że te słowa nie zostały utrwalone na taśmie magnetofonowej lub zapisane przez stenografę. Uderzyła mnie przede wszystkim bezpośredniość i skromność tego 75-letniego poety.

Wieczorem czytałem słowo wstępne Lwa Ozierowa do podarowanego mi tomu poezji Tyczyzny. L. Ozierow pisze: „Wiersze i pieśni Pawła Tyczyzny często porównują z dążącymi w błąd sikorami, z siedmiokolorową tęczą nad łąką, z Dnieprem... Ale wszystkie te porównania okazały się niepełnymi i niedokładnymi, jeśli się zapomni o bohaterach poezji Tyczyzny”. W innym zaś miejscu autor słowa wstępnego stwierdza, że pisać o twórczości Tyczyzny jest trudno, gdyż jest ona ściśle związana z życiem Ukrainy w ostatnich dziesięcioleciach. I to decyduje o ocenie, jaką współcześni mu rodacy obdarzają go...

Nie jestem dostatecznie przygotowany, by pisać o tym wielkim poecie. Podczas spotkania poruszyliśmy inne tematy. Piaton Woronko obrazowo mówił, że granicą nie dzieli mechanicznie narodów, „bo chociażby np. ludność w rejonach przygranicznych nie jest narodowo jednolita, co ułatwia współpracę kulturalną. Sporo uwagi poświęcił Lemkom, etnicznej grupie ukraińskiej, która żyje w Polsce, i na Ukrainie. Temat współpracy kulturalnej i wymiany informacji w tym zakresie podjął także Lu-

Do *„Widnokregu”*

— Сьогодні на кароту проміаю з пам'ятки „Widnokregu” переклади з українських поемів, як старих, так і нових. Яка це прекрасна і благородна справа — ознайомити польських читачів з квітучою українською! Адже це суттєво, наперед, зміцнює дружбу наших братніх народів, зокрема між нами і вами.

Візь думи твої всім нашим побратимам нашим друзам землякам вистах і боротів за мир і прогрес людства.

Примітні сердечні привіт з Радникої України, від отців і матерів багатонаціональної Радянської держави.

Павло Тичина

13 січня 1966 р.

Do szanownych Czytelników „Widnokregu”

Dzisiaj miałem okazję przeczytać w tygodniku „Widnokrag” przekłady twórczości ukraińskich poetów — tak starszych, jak i młodszych. Jaka to wspaniała i chwalebna sprawa zapoznać Polaków z kulturą ukraińską! Przecież służy to przede wszystkim umacnianiu przyjaźni naszych bratnich narodów, w szczególności pisarzy i artystów.

Z głębi duszy życzę wszystkim sławnym polskim przyjaciółom wielkich osiągnięć w walce o pokój i postęp Ludzkości.

Przyjmijcie serdeczne pozdrowienia z Radzieckiej Ukrainy, od jednej z siostr wielonarodowego Państwa Radzieckiego.

13. I. 1966 r.

PAWŁO TYCZYNA





CECYLIA BŁOŃSKA

# DO MAUTHAUSEN DROGA BEZ POWROTU

Zostawcie wszelką  
nadzieję  
Wy, którzy tu wchodzić...  
(Dante „Piekło“)

Do pozycji Wydawnictwa Lubelskiego o tematyce obozowej — Jerzego Putramenta „Fabryki śmieci”, Stanisławy Gogołowskiej „Szkoly okrucieństwa”, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego „Serc za drutem”, Marcina Gryty „Byłem numerem”, — dochodzą wspomnienia Jakuba Willnera „Moja droga do Mauthausen”, które ukazały się ostatnio na półkach księgarskich.

Autora, znanego w naszym województwie działacza, nie ma chyba potrzeby szerzej przedstawiać rzeszowskiemu czytelnikowi; w okresie międzywojennym związany z ruchem rewolucyjnym, dwukrotnie więziony przez sanację, pozbawiony pracy, swą straszliwą wędrówkę po hitlerowskich obozach rozpoczął w Przemyślu, by po tragicznych latach wojny powrócić do tego miasta, w którym żyje i aktywnie pracuje do dzisiaj.

Jego Droga zaczyna się z chwilą wkroczenia wojsk hitlerowskich do Przemyśla: jako działacz lewicowy jest poszukiwany przez Schutzpolizei, gdyż okupant niezwłocznie chce się rozprawić z komunistami.

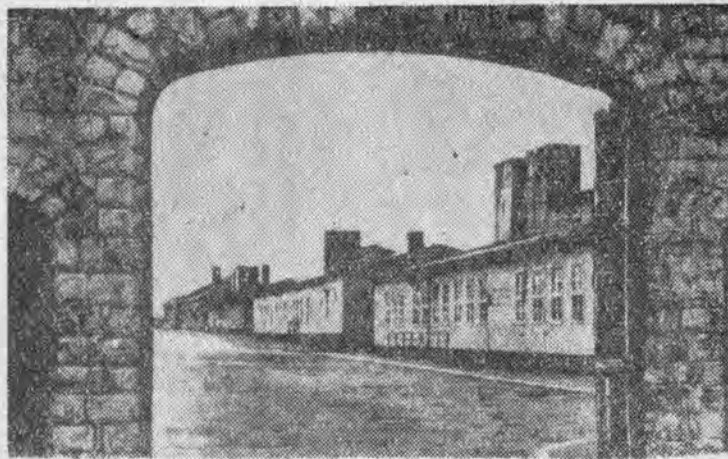
Autor zmuszony jest wkrótce uciec z Przemyśla. Już po utracie najbliższej rodziny, losy wojny zatrzymały go dłużej w Drohobyczu, gdzie z robotnika dochodzącego do pracy w niemieckiej drukarni, rychło staje się więźniem obozu, który działa już według wszelkich prawideł zorganizowanego ludobójstwa.

Do Drohobycza hitlerowcy spędzali ludność z miast i miasteczek Rzeszowszczyzny, równocześnie mordując tamtejszych mieszkańców. Ofiarą morderców pada znakomity pisarz okresu międzywojennego Bruno Schultz, którego książki „Sklepy cynamonowe”, „Sanatorium pod klepsydrą” z niezwykłymi ilustracjami autora, wzbudziły ogromne zainteresowanie. Profesor lubiany

i szanowany przez drohobyżan, pisarz, przed którym stała otworem droga wielkiej literackiej kariery, sam sobie musiał wykopać grób, zgładzony z żoną i córką.

W r. 1944 z Drohobycza, wraz z 700-osobowym transportem, Willner przewieziony zostaje do obozu koncentracyjnego w Płaszowie, kierowanego przez ludobójcę Amona Goetha. Do Płaszowa pędzono transporty skazańców z całej Polski. Autor przypomina przedstawicieli młodego pokolenia inteligencji m. in. inż. Wiktora Reifa znakomitego pro-

w poszczególnych transportach, dramatyczny opis pociągów ze skazanymi na śmierć węgierskimi kobietami. W Płaszowie rozgrywa się scena, których i Dante nie przewidział, tworząc swoje „Piekło”. Ludzie wszystkich narodowości mieszają swe łęki i płacz ze szlochem ofiar łapanek, zwożonych tutaj z Krakowa. Szczególnie wstrząsający jest opis całego wesela, panny młodej strojonej jeszcze w welon, druzek w powiewnych sukienkach, kapeli, która przygrywała na weselnej uczcie i księdza, który udzielił ślubu, jak w ostatecznym strachu,



jektanta — któremu przepowiadano szczególnie wielką przyszłość w dziedzinie architektury.

Nękanie, dziesiątkowanie, nieustannie zagrożenie selekcją i zsyłką do krematorium, współtowarzysze niedoli, z którymi przysiężni się autor — ludzie, jak on, o wielkiej politycznej świadomości, podtrzymują ducha wśród nieszczęśliwych więźniów. A żywiąc nadzieję na sprawiedliwy koniec wojny, starają się zapamiętać szczegóły zbrodni, by kiedyś przekazać je opinii świata.

Są więc w „Mojej drodze do Mauthausen” relacje, a nawet i próby ustalenia ilości ludzi przywożonych

bledsi od bieli stroju panny młodej, idą na śmierć. Często podczas egzekucji dokonywanych na więźniach z Montelupich, zrywa się w Płaszowie okrzyk skazańca Niech żyje Polska!

Mimo osłabionego zdrowia, wyniszczającego głodu, Willner nie poddaje się nieszczęściu i przeżywszy oboz w Płaszowie, jest jednym z tych, którzy przetruceni zostają do katowni w Mauthausen na terenie Austrii.

Chociaż o morderczych kamieniołomach Mauthausen pisano już wiele, relacje te nieustannie budzą dreszcz zgrozy. Rozpasane bestialstwo Niemców, przeczuwających już

nieuchronną klęskę, osiąga tutaj najwyższe nasilenie: nieszczęśliwi więźniowie nie zaznają chwili wytchnienia, nocą nękanie przez rozmaite apele i zbiórki, w dzień pograżeni w mroźnej chędości kamieniołomów, do których hitlerowcy ze strumych, 50 metrowej wysokości schodów, wykutych w kamieniu, masowo strącają słabszych, niezdolnych już do morderczego wysiłku, cynicznie nazywając swoje ofiary „spadochronowymi skoczkami”.

Po tym straszliwej pracy w podobnie w Sankt Valentin — mordowni odległej o kilkanaście kilometrów od Mauthausen; następnie droga przez obóz w Ebensee, zanim już po wyzwoleniu przez aliantów, nieomal śmiertelnie wycieńczony, odpocznie w sanatorium w Sankt Wolfgang, skąd odzyskawszy nieco sił, powróci do Przemyśla...

Bezpośrednio po wyjściu z obozu — pisze — rozpoczął pracę nad swymi wspomnieniami, przez wiele lat jednakże, aż do r. 1960, nie czuł się na siłach, by raz jeszcze przeżyć koszmar obozowych wędrówek.

A jednak, z luźnych kart, notatek, z przeżyć, które na zawsze utkwiły mu w pamięci, stworzył obraz potwornego obozowego życia, skromnie tylko i na marginesie wspominając o swoim, jakże utrudnionym, udziale w walce o ocalenie norm człowieczeństwa w tym piekle (jak np. wykrył w rozbitym wagonie transport cuku, który z narażeniem życia wyniósł, sprawiedliwie rozdziałając pomiędzy zagłodzonych współtowarzyszów niedoli). Pamiętaj, jako kronikarz straszliwej wędrówki, że gdziekolwiek przekraczał bramy obozów, urządzenia obozowe były wszędzie takie same, z czego wysnuwa słuszne wnioski, że plany ludobójstwa długo przedtem dojrzały musiały w „pracowniach” hitlerowskich katów.

Jest jeszcze jeden aspekt, który czyni książkę przemyskiego autora szczególnie cenną: odszukał, zgromadził, skompletował wiele zdjęć ludzi męczonych w obozach. I wspominając po imieniu i nazwisku dziesiątki ofiar, po których na pewno nie pozostał nawet marny pył, w jakiś sposób przeżył je pamięci potomnych, ocalił od zapomnienia. Bo „t a k d ł u g o j e s z c z e j ą j ą u m a r l i” — mówi Romain Rolland — póki wspomni ich ktoś z żywych... A równocześnie nie szczędził Willner słów uznania mieszkańcom Przemyśla, śpieszącym z pomocą ofiarom zbrodniczej eksterminacji oraz Polakom, którzy szeroko wsparli akcję tzw. pomocy społecznej dla zamkniętych w gettach Żydów, wymienia też, jakże nielicznych, obozowych funkcjonariuszy, którzy w tej otchłani przestępstwa zachować potrafili ludzką twarz.

Jest więc „Droga do Mauthausen” poważnym dokumentem, który pojawia się w ostatnim roku obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, gdy szczególnie obowiązani jesteśmy kompletować, przekazać przyszłym pokoleniom wszystko, co dotyczy naszej historii, przypominając równocześnie światu spustoszenia, ludobójcze hitlerowskie zbrodnie, których nigdy zapomnieć nie wolno.

Dlatego ci, którym dane było przeżyć — jak opisuje to w posłowiu autor, — który uczestniczył w żałobnych uroczystościach 20 rocznicy wyzwolenia obozu — wyruli nad drogą bez powrotu wiodącą do Mauthausen nakaz oby wiekopomny: Strzeżcie ludzkość przed takim barbarzyństwem!

Jakub Willner. Moja droga do Mauthausen. Wydawnictwo Lubelskie. Lublin 1965 r. str. 217. Cena zł 15.

## Z kijowskiego notatnika

(Ciąg dalszy ze strony 1)

bim Kopylenko, dziennikarz, tłumacz, kierownik działu literatur zagranicznych gazety „Literacka Ukraina” (redaktor Kopylenko jest synem wybitnego pisarza ukraińskiego, Aleksandra Kopylenki).

Odnosiłem wrażenie, że zainteresowanie Polską na Ukrainie jest bardzo żywe. Igor Kazimirow, sekretarz Komisji Zagranicznej Zarządu ZPU opowiadał mi o pisarzach polskich, których książki wydano w języku ukraińskim, o licznych spotkaniach z polskimi pisarzami, o publikacjach poświęconych naszym pisarzom: m. in. ostatnio ukazały się artykuły poświęcone Jarosławowi Iwaszkiewiczowi.

Moja rozmowa w lokalu Zarządu Związku Pisarzy Ukrainy nie była oficjalnym wywiadem, nie była także kurtuazyjną wizytą celem przekazania życzeń P. Tycynie z okazji jego jubileuszu. W innych rozmowach, m. in. z I wiceministrem kultury USRR, o czym będę jeszcze pisał innym razem, przewijał jeden nurt — zacieśniania współpracy kulturalnej nie od święta, nie w deklaracjach, lecz w praktycznym działaniu, ułatwiającym zbliżenie, lepsze poznanie, a tym samym głębsze zrozumienie. A możliwości nie zostały jeszcze wyczerpane, szczególnie w Polsce południowo-wschodniej, która bezpośrednio graniczy z Ukrainą.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

RUSTEM KUTUJ

# ANA. NA. SY

miłem tutaj. Przepraszam.

— Po coś kupił fajkę?

— Chcę być solidnym. Mężczyzna z fajką — to wcale nieźle. Wyglądam jak pisarz. Kupię jeszcze laskę.

— Mężczyzna z fajką! Ha!

— Proszę się nie śmiać. Zaproszę panią do restauracji. Nie, do kawiarni. Nigdy nie byłem w kawiarni z kobietą, tym bardziej starszą ode mnie. Podejmę pieniądze i zamówię taksówkę. Pani pojedzie ze mną, prawda Zosiu?

— Znowu...

— Pani Zosiu, pani jest sama i ja również. Posiedźmy sobie w kawiarni. Będziemy we dwójkę. Pani się uśmiecha?

— Zofia grzebie w torebce, wydostaje lusterko i szminkę. I dlaczego ona jedyna taka piękna? A może to tylko według mnie taka piękna, a dla innych zwyczajna. Jak ładnie bawi się szminką, zupełnie śmieje się sama do siebie w lusterku.

— Idź gdzie cię wołają, jestem zmęczona. Głowa mnie boli. Mężczyzna z fajką. Zabawne. Ile ty masz lat chłopcze? Nigdy wcześniej nie pytałem cię o to.

— Dwadzieścia pięć. Pani wolałaby, żebym był starszy, wiem.

— Boże, jakis ty zabawny. Podobają ci się moje korale? Wczoraj kupiłam.

— Mnie podoba się wszystko, co pani kupuje. Tak, na-

Wzywa cię dyrektor.

Dyrektor mnie wzywa.

Po co? Już on wie po co, od tego jest dyrektorem.

Pić. Karafka stoi pod

palmą na niziutkim stoliku. Obok, jak skrawek

zastygłego nieba, błękitna popielniczka.

— Ogłuchłeś?

— Nie krzyż Zosiu. Napij się wody. Nie chcesz?

— Zakopałeś się w papierach jak kret. Czyżby ci się to jeszcze nie przejadło?

— Zosiu...

— Nie mów do mnie „Zosiu”! Jak ci nie wstyd, jestem starsza od ciebie.

Niech będzie jeśli ona tak chce. Wszystko na świecie jest piękne i rozumne. Ale ulicami pędzi pogotowie ratunkowe z wyjąca syreną. A mnie wzywa dyrektor.

— Pani Zofio, nady-

kopiłem tu zanadto. Cóż, nowa fajka, trzeba ją przepalić.

Więc się postaram. Zaraz otwieram okno. Zapomniałem, że to już lato. Poczekaj pani na mnie? Poczekaj pani, Zosiu?

— Poczekam, idź.

\* \* \*

Jak wszystko jest mądrze urządzone: długi korytarz i mnóstwo drzwi. W każdym drzwiach klucz, jeden, jedyny.

Każdy człowiek ma również klucz, którym się zamyka. Trzask, i w porządku.

— Wzywaliście mnie towarzyszu dyrektorze?

— Długo szliście. Siadajcie.

— Postoję. Cały dzień siedzę.

— A dlaczego? Biegać trzeba. Czyż ktoś przywiązuje was do krzesła?

— Nie przywiązuje, ale nie nadajam z robotą. Papierków mnóstwo.

Dyrektor ostrzył ołówek. Ma takie przyzwyczajenie — ostrzy ołówek. Stoją na biurku jak rakiety. Dyrektor — kosmonauta.

— Słuchaj — mów mi raptem po przyjacielsku, bezpośrednio. Mógłbyś przecierpieć bez mieszkania jeszcze rok? Raptem rok. Kłopoty mamy z mieszkaniami.

— Choćby sto lat dyrektorze. Sto lat mogę cierpieć. Ożenek mi nie grozi. Uodporniony jestem na to. Tylko łóżko mi potrzebne i to wszystko. A łóżek w sklepie pełno. Bogaty wybór.

— Wesoły z was człowiek. Inni wprost za gardło łapią, a wy zgodny chłop. Przyjeżdża tu do nas jeden z rodziną. Dzieci.

— Można wody?

— Bardzo proszę. Na zdrowie.

Rok temu było to samo. I także piłem wodę i szklanka nie zdrząła mi w ręce. Nasz dyrektor to znakomitość i zawsze ma w karafce zimną wodę. Aż zęby ścina. Cóż, lato.

— Dziękuję towarzyszu dyrektorze.

— Co wy? Za co dziękujecie?

\* \* \*

Zaczepiam ramieniem o sejf. Podnoszę głowę. A jednak to świetnie pomyślane, z tą fajką. Nie każdy by na to wpadł. A ja wpadłem. „Złote runo” pachnie wspaniale. Kupię paczkę tego zadziwiającego tytoniu, włożę białą koszulę i zaproszę Zofię do kawiarni. Mężczyzna z fajką — to jest coś.

— No, jak tam sprawy chłopcze?

— Dobrze Zosiu. Nawet sobie nie wyobrażasz. Przyjeżdża do nas towarzysz z dziećmi. Potrzebne mu mieszkanie. To wszystko. Wstrząsająca nowość.

— Rozumiem.

— Nie nie rozumiesz.

Obejmuję dłońmi głowę. Tak, by trzeszczała jak włoski orzech.

— To trudno zrozumieć — dodaję. Chcesz spróbować mojej fajki?

— Nie trzeba. Lepiej sam zapal.

— No, zanadto się wzruszasz. O mnie? Niepotrzebnie. Popatrz jak świetnie wyglądam. Poproszę, by zrobili mi zdjęcie z fajką. To będzie doskonale, prawda? Podaruję ci fotografię i wiesz co napiszę? Nie zgadniesz: „Człowiek, który się spóźnił z narodzinami”. Ileż filozofii! Ty, co nie masz nic do roboty dzisiaj?

— Mam wolne.

— To, co tu robisz?

— Nie wiem. Co z twoją mamą?

— Tęskni straszliwie za swoim synem, ale ma ten siostrę. Dają sobie radę.

Gdybyś miał pokój, przyjechałaby do ciebie. Mieszkalibyście razem i wszystko byłoby inaczej.

— Co inaczej? Zosiu!... I dlaczego się nie obrażasz, przecież mówię ci „Zosiu” i per ty? Wczoraj na dworcu obserwowałem pociąg. Samemu również chciało się potoczyć do czorta na ciastka. Tam, gdzie wynajmuje pokój nie ma pociągów, tylko posępna gospodyni, zawsze w jednym i tym samym szlafroku. Nazywa mnie „Darem Bożym”. Matka pewnego pięknego dnia ochrzciła mnie Daruszk. Pewnie po to, żebym wszystkim wszystkim wszystko darował. Jest taka wielka sztuka: darować. Rzadkie imię, można pozazdrościć.

— Dar, kiedy będziesz wolny...

— Idziemy dziś do kawiarni, prawda? To chciałaś powiedzieć — Zosiu?

— Nie, dziś nie pójdziemy. Zapomniałem, że masz spotkanie. Podłuchałem twoją rozmowę. Sama wyznaczyłaś termin, więc baw się. Najważniejsze to bawić się.

— Nie rozumiałeś mnie.

— Wszystko jedno, Zosiu. Widzisz jak często powtarzam twoje imię. Będę siedział tu cały wieczór. Mam maleńką ponadprogramową robotkę. Muszę przecież kupić sobie laskę. Dziś na nią zapracuję. Będę miał fajkę, „Złote runo” i laskę. Korale już masz. Bursztynowe — znam się na tym. Ojciec mnie nauczył. Blyszczą, a więc to bursztyń. Zgadłem?

— Zgadłeś.

— Nie ja ci je podarowałem.

— Kupiłam je.

— Zrobiono ci z nich prezent Zosiu. On.

Spytał przez telefon: Podobają ci się? Ona uśmiechnęła się leciutko i żałośnie, dotknęła korali dwoma palcami.

— Dziękuję — powiedziała. Zrozumiałem wszystko. Szeleściłem papierami, żeby myślała: jestem ślepy i głuchy.

— Rozdrażniony jesteś dziś.

— Z pewnością. Złe spałem. Ciągłe gdzieś jechałem i jechałem. Jadłem ananasa. Śmieszne, prawda?

— Dziwne.

— Być może. Widziałem kobietę, która zjadła całe kilo ananasów i nic się jej nie stało. Nie zamieniła się w boginię. A myślałem...

— Fantazjujesz Dar...

— Dlaczego nie nazwasz mnie chłopczykiem?

— Jeśli cię tym obraziłam, wybacz.



EDMUND GAJEWSKI

Impresje (II)

# W MIESCIE które umarło nocą

Gościńska Gera. Stary hotel, w którym ocalał czas przeszły. Przestronny pokój, szerokie łóżka, masywne szafy. Towarzysz podróży wciąż w piętrową poduchę pod obfitym piernatem przypomina omatulonego noworodka. Trudno nie poddać się wesołości. Spędzimy tu niejedną noc. Stąd prowadzą drogi naszych wojaży po miastach NRD.

Jest to miasto zaczarowane. Nawet przyroda tworzy tutaj harmonię z wielką sztuką. Próbuje znaleźć pełnię obrazu tego miasta, która tak wiernie przekazał potomnym mistrz Canaletto. Są bolesne wyrwy i rodzące się dylematy. Oblicze miasta kształtują ludzie czy mury? A może w boyowskiej walce ludzi i murów tkwi tajemnica! Lubię te miasta, gdzie kamienie, to też historia. Sentyment do miasta dzieciństwa? Tylko takie podobieństwa budzą w nas głębokie wzruszenia.

Ze wzgórze Südhöhe ogarniam wzrokiem szeroką dolinę. Przecina ją wijąca się węzowa linia, leniwie płynąca Łaba. Człowiek poprzeczcał nad nią mosty, dodał do towarzysza nadbrzeża promenady, ożywione bujną zielenią. Wzniósł teatry, kościoły, barokowe budynki.

W skąpych słowach kolega z „Volkswachtu” relacjonuje przebieg zagłady miasta.

13 lutego 1945 rok. Pięć minut przed godziną 22 ogłoszono alarm dla miasta Drezna. 9 minut po godzinie 22 spadły pierwsze bomby. 800 samolotów alianckich zrzucało 300 tys. bomb zapalających. Dalsze fale bombowców zrzucały trzy tysiące ciężkich bomb kruszących. Nalot trwał 24 minuty.

24 lutego, godzina 1.22. Ponad 1000 samolotów zrzuca kilkadziesiąt tysięcy bomb zapalających. 4 tys. ciężkich bomb kruszących. Atak trwa ponad pół godziny. Tej nocy umarło miasto! 35 tysięcy ludzi straciło życie. 5 dni i 5 nocy ogień trawił miasto.

Tak, to wszystko! Pozostaje jeszcze mowa kamieni. Można ją

zrozumieć. I usłyszeć krzyk bólu i rozpacz ludzi blakających się po rumowiskach miasta, które było dla nich pieśnią życia.

To sztuka jest pieśnią życia, potrzebą ludzkich serc. Gorące serca przywracają miastu pełnię jego pieśni.

Szlifuję więc te rozgadane bruki. Cóż za muzyka dla oczu. Barokowa symfonia Zwingera z Bramą Koronną, od 1964 roku rozbrzmiewają tradycyjne kuranty z miśnieńskiej porcelany. I znów muzyka w kamieniu, lekkie strzeliste linie Katolickiego Kościoła Dworskiego dzieła Chiaveri. Odrodzony Rynek Staromiejski... Galeria: Tyccjan Giorgone, Rubens, Rembrandt. Poznają smak skarbów, zaspokajam chłopięce tęsknoty.

Liczę na rozgrzeszenie czytelników. W te impresje wkradły się osobiste wspominki. Ale tak się złożyło, że w Krakowie mieszałem w „zwarłowanym domu”. Na piętrze malarz, po sąsiedzku rzeźbiarz i modelka. Może nikogo teraz nie zdziwi, że ojciec kopiował klasyków. Ja z bratem odkrywaliśmy zmienność słonecznego światła, drgające powietrze otoczenia ledwie uchwytnych barw. Na ścianie wisiała jedyna w domu, wielkich rozmiarów reprodukcja. Była to Madonna Sykstyńska Rafaela. Gdy budziłem się rano, spotykałem troskliwy wzrok Madonny o łagodnych harmonijnych kształtach.

Nie ma sztuki bez radości. Dzieło Rafaela nawet w tej postaci było samą radością. Nieudolne pióro nie jest w stanie przekazać uczucia przed tym „spotkaniem”.

Widziałem Madonnę moich wspomnień. Cóż tu jeszcze dodać; trzeba pokochać, by zrozumieć.

Na „balkonie Europy”, tak zwykło się nazywać piękny barokowy budynek Secundogenitur, w wymyślnym lokalu doczekałem się drezdeńskiej nocy. Sierp na niebie nieczym w Krakowie. Może na nadbrzeżu zjawi się zaczarowana doroczka i pojedziemy gdzieś przed siebie. Na nadbrzeżu rozświetliły się nowe wysokościowce. Historii ciąg dalszy — miasto, które umarło i znów żyje!



Ponad 40 milionów marek przeznaczyła NRD na odbudowę historycznych budowli Drezna. Zbudowano też nowe centrum i wzniesiono nowe dzielnice. Turyści oglądają dziś Zwinger wraz ze słynną Bramą Koronną w całej krasie.

— Oczywiście, wybaczam. Lubię, kiedy mówisz.

— Chłopczyk...

Zofia patrzy na mnie z rozmarzeniem, wezbrana jakąś wewnętrzną ciszą.

— Powtórz jeszcze raz.

— Chłopczyk...

Za oknem krzyczą prawdziwi chłopcy. Nie mogą pogodzić się w sprawie piłki. Niech to diabli, gdybym mógł, każdemu podarowałbym piłkę. Synowi gospodarzy kupuję znaczki pocztowe i chowam mu pod poduszkę. Za każdym razem jest zdumiony, ale nikomu nie mówi nic. Myśli swoje i nosi znaczki w pudełku od papierosów. Wkrótce pojedzie do Moskwy, dyrektor obiecał. Będę biegać po całym mieście aż znajdzie ananasy. Kupię trzy sztuki. Raptem trzy. Więcej nie trzeba: synowi gospodarzy, Zofii i sobie. Zawołam ich do ogrodu i uroczystie wręczone ananasy. I wtedy... Oooo, jak będzie cudownie. To będzie jak w pieśni. A-na-na-sy!

— Co z córeczką Zosią?

— Chodził do przedszkola.

— Ojca wspomina?

— Nie mów o tym, proszę cię. Mów o czymkolwiek. Nie młcz.

— Wkrótce wyjadę do tajgi. To bzdura oczywiście, ale prosisz, bym mówił o czymkolwiek. Nigdzie nie pojedzie, będę chodził za tobą, twoimi śladami. Chcesz, pójdę do dyrektora, krzyknę: „nie mogę czekać dłużej!” Chcesz?

— Nie, ty nie krzykniesz. Nie uda ci się Dar. Ładne masz imię.

— A może się uda. Ty co, sądzisz, że nie potrafię się rozgniewać?

— Tak.

— Wesoło to obmyślałaś. Nawet bardzo.

— Znowu nabijasz fajkę. Dlaczego tak często?

— Bo przyjemnie patrzeć z boku, kiedy palę fajkę. Od razu widać, że to człowiek poważny i myślący. Nawet wróblek dziwowałby się mojej fajce.

Zofia wstaje i bierze swoją torebkę.

— Chcesz odejść Zosi? Poczekaj jeszcze trochę. Poem pójdziesz. Jeszcze chwileczkę. Gdzie się tak śpieszysz?

— Nie poszłabym Dar, ale muszę. Chcę mu powiedzieć...

— Co?

— Nic.

Zofia zdejmuję korale i kładzie je do torebki. I nie patrzy na nie, ale w okno, za którym wisi maleńkie rozżarzone żółce.

— Tak lepiej — mówi. W koralach gorąco i duszno. Zadzwoń tu do ciebie.

— Będę czekał.

— I pojedziemy we dwójkę do kawiarni, dobrze?

— A co z moją laską? Chciałem na nią zapracować.

— Dziwak z ciebie Dar. Tylko nie wychodź, ja zadzwonię.

— zybciutko.

— Dobrze. Ale nie śpiesz się zbytnio, jeszcze wpadniesz pod samochód.

Przesuwa dłonią po moich włosach. Potem obraca w palcach fajkę. Bierze z pudełka tytoń.

— Nabiję ci fajkę. Kiedy ją wypalisz, zadzwonię.

— Zadzwońisz...

Patrzę w okno jak Zofia wychodzi na dwór.

— Stuk, stuk, stuk — wybijają obcasy. Zofia ma jasną twarz jakby nie siedziała w dusznym, zadymionym pokoju, ale wracała z plaży w lekkim, słonecznym nastroju. Odwraca się ku mojemu oknu i uśmiech opromienia jej twarz. Macha do mnie, a ja jej odpowiadam.

Papiery, papiery, papiery. Potrzebne i niepotrzebne. W osobnej teczce — listy. Pograżam się w dzisiejszej pocz-

cie. Przygotowuję spinacze i ręce mam spokojne jak przy pelerzu. Trzeba by kupić garnitur i krawat. Na diabła mi laska. Ażebym zadziwił wszystkich? Aaa... trzeba kupić garnitur, upaść na twarz, ale kupić. Zofii nijako z takim. W kawiarni wieczorami siedzą eleganci z dziewczętami i piją wino. A może nie pojedziemy do kawiarni, lecz do Zofii? Wymyślmy jakiś powód i nazwiemy go: ananasy. Wymyślić powód łatwo, jak w dzieciństwie skaleczyć palec.

— Sam jesteś Dar?

— Jak pan widzi.

Przeciska się przez drzwi boczkami, jakby przedtem długo podglądał i bawił się w detektywa. Podchodzi ku mnie powoli z łagodnym uśmiechem. Podaje rękę i widzę, jak przesuwają się wskazówka sekundnika na jego zegarku. To mój starszy kolega, niedawno przybyły tutaj. Zaraz, jak on się nazywa: Aleksander... Aleksander... Borysowicz. Przypomniałem sobie! Jakże nie zapamięta! Na drugi dzień po przyjeździe do pracy wezwał mnie i powiedział: — Mówcie mi: Aleksander Borysowicz. Powiedział bardzo dobitnie i wyraźnie jak lektor w radiu. — Myślę, że będzie się nam dobrze współpracowało — dodał zaraz. A jak wy się nazywacie?

— Dar — powiedziałem.

— Dziwne imię.

— Co porabiasz?

— Czytam listy.

— Palisz fajkę?

— Palę.

— Przyszedłem do ciebie... Dar — obejrzał się na drzwi.

— Dziękuję ci.

— Za co.

— Będę miał już mieszkanie. Przyszedłem ci podziękować. Przecież ty sam, dobrowolnie, na moją korzyść, Dar...

— Nazywam się Dariusz Fiodorowicz — mówię, a jego twarz kołuje mi przed oczami. Spokojnie pociągam z fajki i powtarzam: — Nazywam się Dariusz Fiodorowicz, rozumie pan?

Jestem sam. Chodzę z kąta w kąt, a fajka dymi jak maleńki wulkan. Jak strasznie chce mi się wzięć do ręki ananas. zedrzeć z niego skórę — i pić, pić, pić. W ustach jakiś gorzki zapach. „Złote runo” tęskni za mną na sklepowej półce.

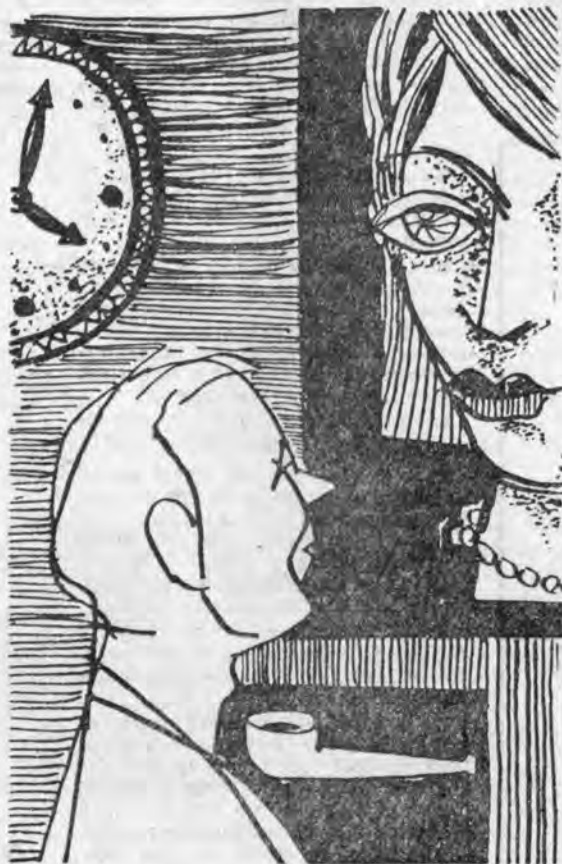
Odkładam fajkę i znów siadam do listów. Ale... Dzwoni telefon.

— Dar, to ja.

— Jak dobrze, że zadzwoniłaś Zosi...

— Dar, siadaj do trolejbusu, wysiądziesz na trzecim przystanku. Nie pojedziemy do kawiarni. Ty nie masz laski, a ja korali. Pójdziemy do mnie, Dar. Czekam.

Przełożył: WITOLD SZYMZYK





## ROZMOWY O SZTUCE



KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

WYSIŁEK  
NIKNIE  
W RADOŚCI

Rozpoczynamy dziś cykl rozmów o sztuce, prowadzonych przez red. Krystynę Świerczewską, z przedstawicielami zawodów twórczych. Intencją zasadniczą tych rozmów polegała będzie na przybliżeniu ich twórczości przeciętnemu odbiorcy — zaciekawionemu sztuką, ale mało z nią obcującemu. I jeżeli jego kontakty z dziełem sztuki zwiokrotnią się, jeżeli nie zostanie może przekonany do wszystkiego, o czym tu się powie, że jest piękne, nawet będzie przeciw temu protestował, a l e b ę d z i e p r o t e s t o w a ł, to cel tych rozmów, którym jest rozbudzenie jego zainteresowań, zostanie i tak osiągnięty.

REDAKCJA

**K:** — Mamy rozmawiać o sztuce. Wyjdźmy więc od żartobliwej definicji, jaką sformułował włoski estetyk Benedetto Croce, że „sztuka jest tym, o czym wszyscy wiedzą, czym jest”. Bo choćby przez tę upartą potrzebę piękna, jaka podświadomie drzemie w każdym człowieku, niezależnie od jego prognozy intelektualnego i przez naturalną dociekliwość ludzkiego rozumu, który z każdego człowieka czyni po trosze filozofa, zajmowano się sztuką i próbowano ją zdefiniować (a mówimy tu o każdej definicji — nawet naiwnej, czynionej na własny użytek) już w epoce pierwotnej.

Jesteś malarzką, masz własną koncepcję sztuki, rozumiesz ją po swojemu i własną definicję zamkasz w swoich obrazach. Należąc do węższego grona zainteresowanych sztuką, stoisz niejako po drugiej stronie — stronie twórców, ale tym bardziej należysz do tych, którzy wiedzą, czym jest sztuka i szukają potwierdzenia własnej definicji u odbiorcy ich obrazów.

**Z:** — Dla mnie jako odbiorcy sztuka jest przyjemnością. Stawiając się w roli twórcy — malowanie obrazu jest radością, która każe zapominać o wysiłku. Lepiej — jest tak dużą radością, że likwiduje się w niej każdy wysiłek.

**K:** — Czy malowanie jest zawsze radością?

**Z:** — Zawsze. Jeżeli maluję z radością — wiem, że obraz jest dobry. Jeżeli zaczynam odczuwać jakikolwiek wysiłek — przerywam pracę i wiem, bo sprawdziłam to, że obraz będzie nieudany.

**K:** — Czy wracasz do takich obrazów?

**Z:** — Nie wracam. Nie należy do nich wracać.

**K:** — W takim razie malujesz spontanicznie.

**Z:** — Chyba tak.

**K:** — Czemu mówisz „chyba”?

**Z:** — Bo w moich obrazach nie widzę jednak, by były spontaniczne. Zresztą, mówię jako malarz młody i tylko z tej pozycji nie wracam. Uważam, że już za dużo zepsułam w takim obrazie, by próbować coś naprawić. Wracam natomiast do obrazów dobrze zaczętych, które przestałam malować nie dlatego, że wysiłek zadominował nad radością z pracy.

**K:** — Obrazem rządzi prawa kompozycji, której możliwości są nieograniczone, koloru, linii i tematu. Ten ostatni, wydaje mi się, jest u ciebie sprawą niezmiernie ważną. Żyjemy w czasie i hołdujemy malarstwu, które mocno ów temat zaniedbało. A dla mnie, i myślę, że dla przeciętnego odbiorcy, temat jest właśnie tą wartością, która pomaga w zrozumieniu obrazu, nie sądzisz?

**Z:** — Temat na pewno pomaga, ale temat można oddać nie tylko poprzez fabułę i anegdotę, lecz samą linią i kolorem, dlatego może zawierać go każdy obraz, nie tylko realistyczny. Kiedy po raz pierwszy doszłam do tego — przeżyłam wstrząs, że tak proste środki mogą przekazać myśl.

**K:** — Te środki tobie wydają się proste, proste, mam wrażenie, w tym sensie, że pozbawiłaś obraz anegdoty, ale czy nie pomyślałaś nad tym, że jednocześnie utrudniłaś odbiór prostemu człowiekowi?

**Z:** — Na pewno.

**K:** — Czym mu to wynagrodzisz?

**Z:** — Zawsze wtedy chcę zrekompenzować mu to sytością koloru, przejrzystością linii, które powinny mu stworzyć w r a z e n i e tematu.

**K:** — Czy to „wrażenie tematu” jest równoznaczne u ciebie z nastrojem obrazu?

**Z:** — Tak.

**K:** — Ale czy nie zdaje ci się (bo ja jestem prawie tego pewna), że na to, by odebrać „wrażenie tematu”, któreśmy nazwały nastrojem, potrzeba odbiorcy szalenie wrażliwego?

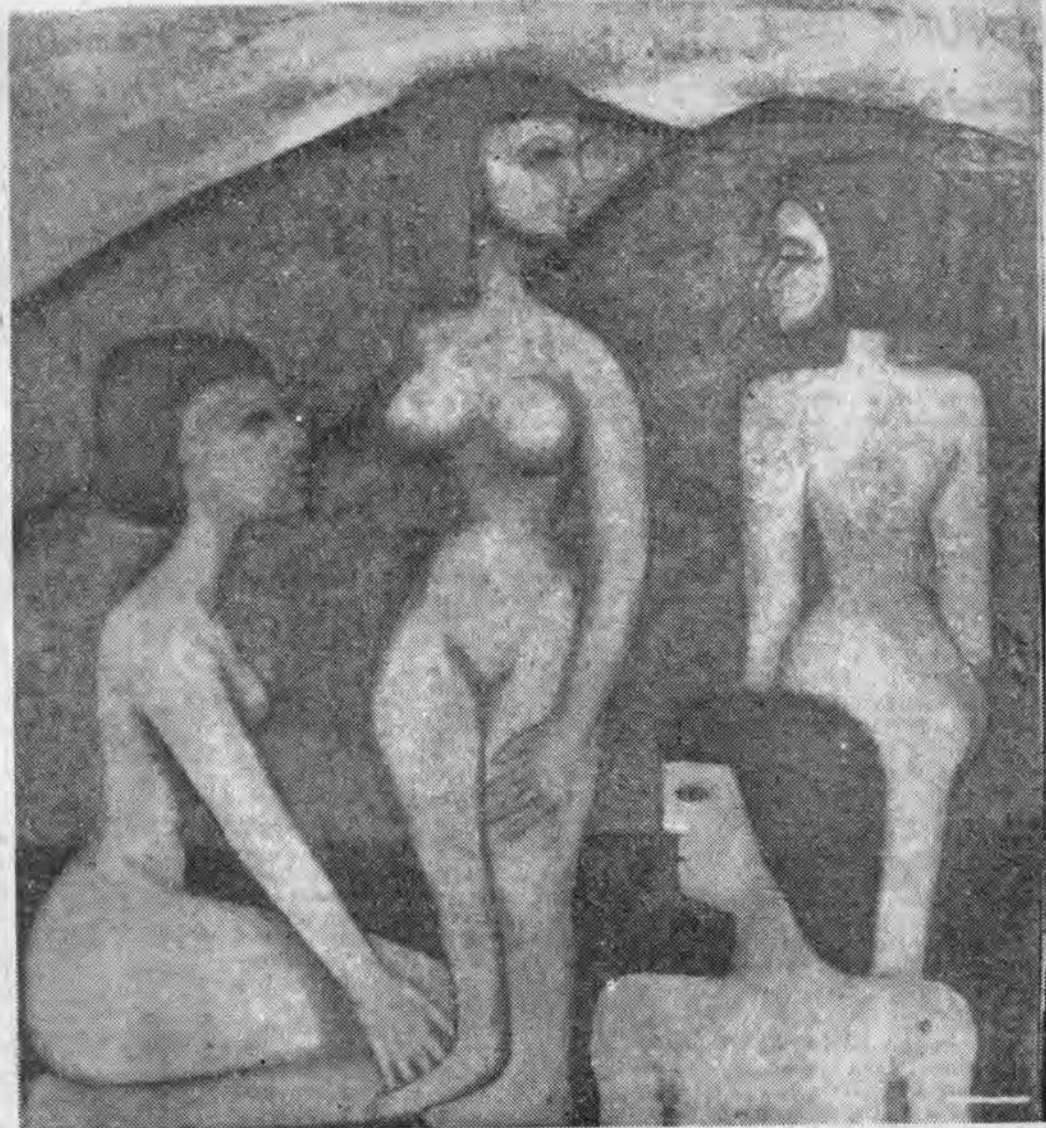
**Z:** — Tak.

**K:** — Czy nie sądzisz, że trudno o takiego odbiorcę?

**Z:** — Żeby sztukę rozumieć, trzeba z nią obcować i ty to wiesz tak samo dobrze jak ja...

**K:** — Po prostu potrzebny jest czas, umiejętność powolnego przywykania do rzeczy nowych, czasem szokujących. Wyobrażam sobie, że gdyby od pierwszych chwil świadomości dziecko patrzyło np. na obrazy surrealistyczne, w latach dojrzalszych surrealizm nie byłby dlań tajemnicą, stałby się trwałym zainteresowaniem, które się rozumie. Czy tak?

**Z:** — Naturalnie. I dlatego cieszę się z tej ekspansji sztuki, która wchodzi do publicznych wnętrz, domów

„Akty”  
Zuzanna  
Kusek  
— Kud

kultury, nawet fabryk. Od tego momentu zaczyna się przyzwyczajanie do obrazów. I chyba to jest pierwszy krok na drodze do właściwego odbierania sztuki.

**K:** — Malujesz dla wszystkich, nie zastanawiasz się nad tym, kto to będzie odbierał; im więcej ludzi cię rozumie, tym dla ciebie chyba większa satysfakcja.

**Z:** — Ale ciągle się boję, by to nie świadczyło o przeciętności obrazu.

**K:** — Zuzanno, to jest demagogia, co mówisz. Z tego może wynikać, bo nie chcę powiedzieć, że wynika założenie a priori, że odbiorca masowy, to jest kłeska dla malarza. Za dużo chyba jest tego przekonania w was — plastykach, że sztuka dobra winna być sztuką mało komunikatywną, skomplikowaną formalnie. Zresztą nie tylko w Was, bo to problem, który przewija się poprzez wszystkie dziedziny sztuki.

**Z:** — Chyba nie masz racji, choć przyznaję ci ją w przypadku kwestii komunikatywności. Przyznaję, że niektórzy z nas może i tak myśleli, ale „wyrośli” z tego myślenia i dziś szanują odbiorcę. Choć nie zawsze szanują gust odbiorcy. Zły gust. Każdy malarz musi uprawiać taką sztukę, do jakiej doszedł i jego celem, powinnością nawet, jest przerabianie złego smaku, protest przeciw niemu. Protest zawsze bardzo indywidualny.

W początkach mego malowania nie liczyłam się nigdy z odbiorcą, ciągle szukając właściwego sposobu wyrażania się. Byłam pewna, że z chwilą, kiedy my malarze zaczynamy liczyć się z odbiorcą, malujemy swoje obrazy pod jego gust. Dzieje się może tak dlatego, że mamy jeszcze zbyt mało wiedzy o robieniu obrazów.

**K:** — Co stało się powodem, że dziś twoja opinia uległa zmianie, że szanujesz widza, liczysz się z jego zdaniem?

**Z:** — Myślę, że pomógł mi właśnie temat, a raczej zrozumienie jego ważnej roli w obrazie i pomocniczej funkcji, jaką spełnia w interpretacji obrazu; temat wyrażony za pomocą zjawisk materialnych, czasem tak skomplikowanych jak człowiek.

**K:** — W człowieku nie interesuje cię tylko jego forma zewnętrzna?

**Z:** — Oczywiście nie; przede wszystkim jego konstrukcja rozumowo-psychologiczna, jej bogactwo.

**K:** — Leży przede mną reprodukcja twojego obrazu „Akty”. Wiem, że pracowałaś nad nim długo, parę lat; co cię tak bardzo zafrapowało?

**Z:** — Wybrałam temat kobiety dlatego, że obiecuje bogactwo formy, które z kolei dozwala na taką właśnie kompozycję.

**K:** — Więc to jest obraz, gdzie temat podporządkowałaś kompozycji. Idąc po linii logicznego rozumowania, jest to zapewne obraz z okresu pierwszego, kiedy nie liczyłaś się z odbiorcą. I teraz wytłumacz mi, jak to się stało, że obraz ten jest jed-

nym z najbardziej czytelnych dla odbiorcy?

**Z:** — Sądzę, że przede wszystkim dlatego, iż są tam konkretne formy, jak akt.

**K:** — Picasso też malował akty, które są w większości niezrozumiałe, jak choćby owe słynne „Panny Awiniońskie”, które są początkiem jego odejścia od sztuki realistycznej. Sens tego niezrozumienia tkwi, być może, w geometrycznym traktowaniu ciała ludzkiego. Ty tego nie robisz. Ale mijałaś się z odbiorcą w jakiś sposób, bo zamysł twój polegał na wyeksponowaniu kompozycji, której on nie dostrzega, reagując natomiast bardzo zmysłowo na kolor, nastrój, owo „wrażenie tematu”, mimowiednie podane poprzez anegdotę i konkretne formy...

**Z:** — Pozwól, że ci przerwę i powiem, że wcale nie chodziło mi o przekazanie właśnie tych wartości. Przyznaję się przy tym do zaskoczenia, iż ta różnorodność środków nie przeszkodziła mi w uzyskaniu zamierzonej dominacji obrazu — właśnie kompozycji.

**K:** — Oczywiście, dla bardziej wtajemniczonych, ona jest zasadnicza. Niemniej udało ci się zespolic w tym obrazie dwie wartości: jedną — świadomą, to znaczy kompozycję i drugą mimowiedną, przy tym decydującą dla pewnej, licznej grupy odbiorców — czytelność tematyczną. Przyznasz więc, że anegdota w jakiś sposób p o s z e r z a obraz, daje do niego jak gdyby komentarz.

**Z:** — Zgadza się z tym. Zresztą wszystkie zagadnienia można by sprowadzić do jednego najważniejszego, aby to była dobra sztuka, obojętnie jakimi środkami osiągnięta...

**K:** — Zwykło się mówić, że dobre dzieło powstaje z buntu przeciw zastanym formom, zakłamanym treściom, przeciw lichwie myślowej...

**Z:** — Tak rodził się ekspresjonizm, nadrealizm i inne kierunki — my bunt społeczno-moralne mamy poza sobą. Pozostał bunt estetyczny. Nie dla mnie. Korzystam, jak dotąd wiernie z ciągu kulturowego, ze sprawdzonych teorii estetycznych, zwłaszcza tam, gdzie ważą się sprawy kolorystyczne.

**K:** — A mimo to, jak sama powiedziałaś, jesteś w ciągłych poszukiwaniach własnej drogi, własnych środków wyrazu. Kto wie, może w tej niespokojności, w tym wiecznym niezadowoleniu ze zdobytych dotąd doświadczeń, w zachłanności na sprawdzanie coraz to nowych form kryje się tajemnica sztuki żywej, młodej, potrzebnej ludziom, którzy, mimo iż często nie zdają sobie jasno sprawy z tej potrzeby, akceptują zawsze rzeczy naprawdę piękne. Ktoś kiedyś powiedział, że „każdy krajobraz jest nastrojem”, ale nie dlatego, że jest krajobrazem, tylko dlatego, że sam w sobie jest sztuką. Dobry obraz będzie tedy własną wizją malarza, który doskonałą formą zamknął właśnie pewien niepowtarzalny nastrój. Czy tak?

**Z:** — Na pewno; malarz nie zastanawia się przy tym czy obraz jego jest zły czy dobry — on go kontempluje.

**K:** — Myślę, że warto byłoby nauczyć tej kontemplacji obrazu właśnie waszego odbiorcę...

Rozmawiały:  
ZUZANNA KUSEK-KUD  
i  
KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

ZOFIA STĄPOR

## Wiersz do mojej matki

Czy potrafię odnaleźć  
słowa  
liście szeleszczące  
ręce jak chwiejne płomyki

lubiłaś jesienią niebo  
konarami drzew podparte  
miotły wierz  
Jesteś w aksamicie wody

Kropłą rosy w puste ręce  
nie ogrzeję ich  
w twoich



Panny Awiniońskie (1909)

Pablo Picasso





JERZY CIEŚLAK

# GDZIE NIE DYMIA, KOMINY

Miasteczko liczy niewiele ponad tysiąc mieszkańców i w tym roku przygotowuje swój skromny jubileusz 800-lecia istnienia i 350-lecia uzyskania praw miejskich. Chłubi się przeszłością tyleż oryginalną, co i często opisywaną. Mimo to warto by ją przypomnieć.

Niegdyś pan jaśnie wielmożny Ułan Uliński (historycznie postać niesprawdzona), zrobił małej flisackiej osadzie zaszczyt, a sobie przysporzył niezłych dochodów, lokując ją na prawach miejskich. Obdarzył ją także swoim nazwiskiem. Były to czasy, gdy polskie, spławiane Wisłą zboże, setkami ton wędrowało za granicę, szło również drzewo i z jego spławu żyły flisackie pokolenia. Mieszkańcy Ulanowa znani byli, jako mistrze w swoim zawodzie i slyneli z tegich, pijackich głów, nie tylko zresztą.

Ustna tradycja podaje, że gdzieś w XVIII wieku obywatele ulanowscy pokłócili się z dziedzicem, który chciał zaorać pas nieużytków, będący ich własnością. Przepędzili jego parobków. Każdy z buntowników osobno wezwany przez dziedzica osobno też otrzymał porcję kijów. Skarga na szlachecką samowolę trafiła do króla, który za każdy ślad kija na tyłku mieszczan-skim kazał zapłacić dukata. Szlachcice się opierał, pijaństwem chciał opłacić koszty zabiegu, ulanowcy jednak twarde bronili idei; dukat za kij i wygrali. Zwyciężyła flisacka duma.

Miasto do niedawna żyło z handlu drewnem, spławu w sezonie, a w zimie z wyplatania koszyków. Teraz i nie takie lasy i przemysł drzewny w pobliżu, trzeba się było przetrząsnąć na coś innego, ale serce jak dawniej ciągnie ku wodzie, wirom i tratwom. A tratwy, choć nie w takich ilościach, dalej płyną obok Ulanowa, ale retmani im kto inny — przeważnie sądecy górale. Pan retman Franciszek Nachajski opowiada o swoim burzliwym życiu, wypłatając równocześnie szybkimi ruchami koszyk dla rudnickiej „Wikliny”. Już na rencie, gd czasu, gdy uświadomił sobie, że on już nie Franek, lecz Franciszek, choć wygląda zdrowo i starczyłoby mu siły na niejedną jeszcze spław. Pływałoby, mówi, jeszcze wielu ulanowców, gdyby się przed kilku laty nie pokłócili z przedsiębiorstwem o dniówki.

Powoli w ostatnim dwudziestoleciu Ulanów stawał się podobny do innych małych miasteczek, na południu Polski. Zmierch flisactwa, zanik ożywionych kontaktów handlowych wywołał gruntowne zmiany. Nie ma już w miasteczku domów z podcieniami, budowanych na przeniesionych z północy wzorach. Nie ma kregielni ocienionej daszkiem ani czterech karczem w miejsce że ogrzewanej gospody, w której odbywają swój codzienny postój zawsze ci sami piwowse. Nie ma legendarnego już klimatu żydowskiego miasteczka, handlarzy i przemysłowców (nieдалеко przebiegała granica Kongresówki i Galicji).

Zanika też świadomie kultywowana przez ulanowian odrębność, separacja, która wyróżniała ich spośród masy chłopstwa czy chamsztwa, jak mówili wzorując się na szlachcie drobnomieszczanie. Kursowało wśród nich powiedzenie: do kotorem, inżynierem możesz zostać, ulanowcem trzeba się urodzić. By się z chamsztwem nie wiązać, te kilkadziesiąt flisackich rodzin zeńiło się przez kilka wieków tylko między sobą. Istniejący wewnętrzny, kastowy układ oparty na różnicy funkcji flisackich, pełnionych przez ojców rodzin, bynajmniej nie zbliżał flisaków do chłopów z okolicznych wiosek. Istniała prze-

cież możliwość widocznej kariery z flisaka na przednika, potem podmajstrzego i wreszcie retmana.

Kult flisackich tradycji jest na pewno trwałą wartością. On wyznacza również ambicje ulanowian — był motorem kilkuletnich starań o przywrócenie praw miejskich Ulanowowi, utraconych niedługo po ostatniej wojnie.

Z drugiej strony, z tej tradycji wywodzi się do dziś żywe wśród starych ulanowian przekonanie o własnej, mieszczańskiej wyższości, galicyjski kult tytułów, szlachectwa. A mieli ulanowianie pretensje do „urodzenia”. Wielki to honor był dla mieszczanina uściśnić pańską, a przyjemność pocałować księżą rękę. A biedę klepał jedynak, jak chłop z wyjątkiem dobrze opłaconych retmanów. Nie zdarzyło się, by obywatel ulanowski, częstując sąsiadów tabaką po sumie, uwzględnił przy tym ceremonialnie chłopca, choćby przyznanego w miasteczku. Nawet w karczmie nie każdy mógł dostać do ręki szklanekę z wódką, dla biedniejszych karczmarz przytwierdził łańcuszkiem półkwaterek do szynkwasu.

Wielkim urokiem Ulanowa jest piękne położenie. Miasteczko wciśnięte jest między Tanew i San. Niedaleko las. Niezatruta ściekami fabryk woda, senna atmosfera małego miasteczka, najlepiej sprzyjać może wakacyjnemu odpoczynkowi. Stalowowska huta wykorzystuje tę możliwość. Powstaje osiedle domków campingowych.

Niewiele jest podobnych możliwości. Ulanów nie posiada szans na niewielki choćby przemysł. Zdaniem władz, przyszłość miasta to rozwój spółdzielczości, koszykarstwo i oczywiście, Stalowa Wola. A wielki przemysł, to najlepszy lek na zatęchłą atmosferę małych miasteczek. Czas zresztą i tak robi swoje. Zanika tradycyjn już niechęć wobec nowinek. Mieszkańcy w czynie społecznym zbudowali liceum, chociaż najpierw trzeba ich było postraszyć przeniesieniem szkoły, wprowadzili elektryczność, wspólnie z mieszkańcami wsi, składają się na budowę internatu. Powoli zanika zakorzeniony szczególnie wśród starszych klerykalizm. Jest to kryzys zaufania. Już teraz kilka tygodni po opublikowaniu oredzia biskupów stara kobieta, dla której religia i kościół nie mogły być przedmiotem najmniejszych uwag, która słowo proboszcza traktowała jak dogmat, po zapoznaniu się z tekstem zaczęła płakać jakby wiele utraciła.

Bolesnym doświadczeniem była dla tych ludzi wojna i pierwsze lata wyzwolenia, gdy Ulanów zagrożony był ciągle przez działalność band NSZ. W latach czterdziestych odbyła się zbyt gwałtowna konfrontacja starego z nowym, by nowe przełamało wieloletnie nawyki myślenia. Dopiero postępująca ewolucja zatacza ostatnie kręgi, obejmując senna miasteczka, w których nie wyrosła Nowa Huta, a tak wiele się zmieniło.



FOT. M. KOPEĆ

BOGDAN LOEBL

# Poczucie humoru

Poczucie humoru — to temat, który powinien doczekać się uwagi jakiegoś naukowca. I to nie byle jakiego. Być może historia poczucia humoru naszego narodu mogłaby nam powiedzieć nie mniej interesujących rzeczy o nim aniżeli historia jego wojen. Proces ewolucji, któremu podlega poczucie humoru, wydaje się być procesem tak żywym, że zachodzące tu zmiany jakościowe można obserwować już nie na przestrzeni wieków, lecz poszczególnych pokoleń. Nie wiem, czy dziesięć lat temu śmiałybym się na widok złodowaciałego kawałka śniegu leżącego z czwartego piętra na głowę idącego chodnikiem człowieka. Nie wiem, jak zareagowałbym na taki widok, gdybym miał o dziesięć lat więcej. Wiem natomiast, jaką reakcję wywołał ten incydent u trzech dwudziesto-, czy też dwudziestokilkulatków.

to w końcu mogło obchodzić? Śmiejszne...

Przechodząc obok kina ujrzałem na plakacie wyświetlanego właśnie filmu nazwisko mego ulubionego aktora. Kino. Tak, to powinno mi było dobrze zrobić. Kupiłem bilet i wszedłem do wnętrza kina w nadziei, że zaraz wywole się dzięki niemu od ponurej wizji świata, którego rządu obe muje pokolenie o niespotykanym dotąd poczuciu humoru. Ale nie był to niestety, western, mimo że jedną z głównych ról grał Burt Lancaster. Nie była to również komedia filmowa, chociaż, gdybym siedział na tym seansie z zamkniętymi oczami mógłbym dojść do takiego wniosku. Część widowni bowiem reagowała na ten film śmiechem. Ale ja nie miałem zamkniętych oczu.

Film nosił tytuł „Dziecko czeka” i pokazywał losy i życie dzieci nie-



Wiem, gdyż przypadkowo byłem świadkiem tego zajścia, które miało miejsce na jednej z ulic Rzeszowa kilka dni temu.

Ulicą szedł mężczyzna. Kawał złodowaciałego śniegu obsunął się z dachu czteropiętrowej kamienicy i zaczął spadać na przechodzącego. Było za późno, ażeby go ostrzec o grożącym mu niebezpieczeństwie. Zanim otworzyłem usta i krzyknąłem, bryła uderzyła o płytę chodnika. Zaledwie o kilka centymetrów przed idącym. Prawie otarła się o niego. Mężczyzna skulił się i skoczył w bok. Usłyszałem żywiołowy, głośny wybuch śmiechu. Śmiały się trzej idący z przeciwnego kierunku młodzieńcy. Przez moment sądziłem, że dostali ataku hysterii na myśl o tym, co by się zdarzyło, gdyby mężczyzna szedł nieco szybciej. Byłem naiwny. To był zdrowy, wesoły śmiech zdrowych wesołych ludzi. Mężczyzna poprawił przekrzywiony kapelusz i chyłkiem przesunął się obok zataczających się ze śmiechu młodzieńców, formalnie ryczących, dławiących się tym śmiechem. Zrobiłem krok w kierunku jezdni, chciałem przejść na drugą stronę jezdni, ażeby im włożyć ten śmiech z powrotem do gardeł. Omal nie wpadłem pod samochód. Cofnąłem się, ochłonąłem. — „Kretyni” — wrzasnąłem. Umiłkli, popatrzyli na mnie spoode łba. — „Byłoby zabiło człowieka” — usłyszałem. Obok mnie stał jakiś pułkownik. Był blady. Może widok rozpryskującej się bryły skojarzył mu się z jakimś innym, wyniesionym z frontu obrazem?

Młodzieńcy zaburczeli coś do siebie, przyjrzeni mi się uważnie i ruszyli dalej. Pułkownik poszedł swoją drogą. Skreśliłem w przecznicę.

Było mi głupio, że tak łatwo dałem się ponieść nerwom. Wiedziałem, że zachowałem się wobec siebie niewłaściwie. Lekarz zalecił mi spokój, kazał dbać o równowagę psychiczną, a ja dałem się ponieść nerwom tylko dlatego, że trzech smarkaczy rozśmieszyła sytuacja, która mogła spowodować śmierć, albo kalectwo człowieka. Co mnie

dorozwiniętych oraz rodziców tych dzieci. Wszedłem z kina wstrząśnięty. Jest to jeden z rzadkich filmów, który ogląda się ze ściśniętym gardłem, który może człowieka bardzo wrażliwego doprowadzić do nerwowego szoku. Ale śmiechów, które rozległy się na widowni w trakcie projekcji tego filmu nie wywołał nerwowy szok. Gdybym przed wejściem do kina nie widział wyżej opisanego incydentu z bryłą spadającą śniegu, mężczyzną i rozbawionymi tym widokiem młodzieńcami, może próbowałbym uwierzyć, że może być ktoś, kogo tragiczne losy ludzi, tak tragiczne, jak te, które „opowiedziano” filmem „Dziecko czeka” — mogą śmieszyć. Okazuje się jednak, że jest to możliwe. Raz jeszcze miałem dowód na to, że dla człowieka dwudziestego wieku nic nie jest niemożliwe.

To może paradoks, lecz to kolejne potwierdzenie ogólnie panującego przeświadczenia, że możliwości ludzkie są nieograniczone, podziało na mnie przygnębiająco...

Wesołkowie z seansu, na którym wyświetlono film „Dziecko czeka” nie pamiętają filmu noszącego tytuł „Cena strachu”, którego scenariusz oparto na świetnej powieści Georgesa Arnauda noszącej ten sam tytuł. Nie pamiętają, gdyż film tego w ogóle nie oglądali. Kiedy wyświetlano u nas ten film, trzymali się jeszcze sukienki marni, albo, być może, za jakiś niewymyślny psikus karceni byli biciem po głowie. Otóż w końcowej części filmu „Cena strachu” jest dramatyczna scena, w której jeden z jego bohaterów wpada do wypełnionej naftową ropą wyrwy. Nigdy chyba nie zapomnę tego filmu i tej właśnie sceny. A zwłaszcza momentu, w którym na wstrzymującej oddech widowni rozległy się śmiechy. Bo oto ranny, tonący w ropie człowiek wkurzył z niej... hi... hi... hi — orosze sobie wyobrazić — twarz umazaną ropą. A

(Ciąg dalszy na stronie 6)



Na uprost

# Jak to bywa z twórczością

W wielu rozmowach, aluzjach, listach, w czasie spotkań dziennikarskich sugerują nam czytelnicy, iż zbyt ostro i brutalnie obchodzimy się z wszystkimi początkującymi twórcami. Odpowiedzi redakcji — twierdzą oni — w większości wypadków nie pozostawiają cienia nadziei młodym poetom i prozaikom. Niektórzy nasi korespondenci wyrażają obawę, iż celowo nie dopuszczamy do głosu utalentowanych ludzi, niszczymy ich i ośmieszamy, by zapewnić monopol małej grupce „nowoczesnych”. Dzieje się to ze stratą dla „prawdziwej, prostej i uczuciowej liryki, ze stratą dla literatury polskiej.

Niedawno otrzymaliśmy zrecenzję i dowcipny wierszowany „protest i ubolewanie z powodu tytuł umiemych recenzji i odmownych odpowiedzi udzielanych debiutantom...”. Czytamy w nim:

„Dlaczego — pytam — tyle mamy trudu  
My grafomani (?) z wydaniem utworów?  
Dlaczego trzeba chyba tylko cudu,  
Żeby nasz produkt przyjął do swych zbiorów  
któryś z ważniejszych literackich snobów?  
My w pocie czoła to komponujemy,  
Co potem z lekkim sercem odrzucają  
Redakcje różnych pism i tanyjeny  
Zadają nam przynajmniej nie chcą jeno radę dać,  
Byśmy wstrzymali potok tych wyrobów...  
My jednak — wierzę — pracy nie przerwiemy  
Póki nam światło żarówek przyświeca  
Bo wieczorami to komponujemy  
Dążyć do wieńca poety — nie heca!  
I nikt nas z drogi owej nie przepłoszy”.

W dopisku korespondent dodaje: „Poznałbym co celniejsze plody ducha odpalonych adeptów sztuki rymotwórczej, ale chyba nie będą miał możliwości”.

No cóż — przyparci do muru, w obawie przed wiszącym nad nami epitetem „bezdusznej kliki” spróbujemy odpowiedzieć na te pytania zarówno autorowi protestu, jak i wszystkim innym zaniepokojonym.

Otrzymujemy istotnie co tydzień kilkanaście listów podpisywanych: Stokrotka, Jagódka, Nastolatek, Harry, Diana, Rusalka, Leon Petroniusz, Jadzka z Krosna, Zropaczony z kolbuszowskiego, Nadzieja i jeszcze inaczej — a czasami także z pełnym imieniem i nazwiskiem. Do każdego listu te wszystkie nasze kwiatki, boginki i roślinki dołączają próbki twórczości. Najczęściej czytamy w takich listach: „Ja mam wielkie zamiłowanie do poezji i piszę już dawno. Wiem, że to nie jest nic wielkiego, ale koleżankom się podoba i w domu też, to proszę o ocenę i wskazówki, które by mi pomogły zostać poetką”. Albo „Profesorka, która uczy mnie polskiego, potrafiła wzbudzić u mnie zamiłowanie do poezji. Obecnie poezja stała się moją pasją, którą staram się opanować, lecz bezskutecznie”. Albo: „Mój duch, to poezja. Myślę o niej zawsze. Może mi napiszecie, żeby szybko przestać z pisaniem, ja jednak nie przestanę”.

A oto próbki „poezji”:

„Poezjo  
Muzo niepówstrzymana  
Muzo nieujarzmiona  
Nie znająca zawołania stop”  
Ty bez koryta  
płyniesz przez dzieje  
Bez praw i regul...”

A oto dworski komplement zatytułowany „Kobiety”:

„A gdy będziesz wracał z Kolbuszowy, spójrz na hale, gdzie pasą się krowy. Jedną jest piękna jak kwiat bukwiny, takie już są kolbuszowskie dziewczyny...”

A tak o Tarnobrzegu:

„Bo któż by nie znał — Kaprys, Tapima, no i ten pomnik Bartosza olbrzyma. Więc słuchaj ludzkości — to miasto przyszłości pachnące siarką, zielenią no i uroczą naszą młodzieżą...”

A tak znowu z wielkiego dzwonu: „Nie piszę dla siebie czy dla was z redakcji; czynię to wyłącznie z pokojowej racji, dla dobra świata — ludzkiej demokracji, w obronie pokoju, w ramach wielkiej akcji”.

Nie zaliczyliśmy żadnego z tych utworów do wybitnych osiągnięć poetyckich — to prawda. Radziłszy, by autorzy szybko przestali pisać — to także prawda. Ale nie można nas obwiniać o to, żeśmy załamali wiarę tych twórców w siebie i zmusili do milczenia. Bo ich poezja „to muza niepówstrzymana, nie znająca zawołania stop”.

Inni twórcy mają znacznie wyższe wymagania. Np.: „Zwracam się do redakcji „Widnokragu” o przeanalizowanie mojej powieści pt. „Płynące okryty koraarzy na morzu Indyjskim” i drugiej powieści „Badanie horyzontu i przyrody na puszczy”. O błędach i brakach, które powstały w tych powieściach proszę mnie pisemnie powiadomić. Nadmieniam, że jestem na tropie opisanie powieści historycznych z okresu walk z najeżdżającą hitlerowskim...”

Inny list: „...wysłałem rękopis swojej pracy pt. „Państwo” i jako twórca ludowy jestem w pilnej potrzebie finansowej, dlatego proponuję waszej redakcji nabycie rękopisu tego po bardzo przystępnej cenie 4 tys. złotych...”

Bardzo się wstydzimy, bo i tym dwóm twórcom nie umożliwiłmy startu literackiego. Analiza „Płynących okryty koraarzy”... wypadła ujemnie i nie wypłaciłmy również 4 tys. złotych za „Państwo”.

Wielu naszych korespondentów czuje w sobie wenę satyryczną. Oto jeden trawestując „Pana Tadeusza” tak szydzi z pijaków: „Natenczas Józef chwycił w kieszeń zatkniętą, swą butelczynę płaską, prostą i zamkniętą. Oburącz ją do ust przycisnął wzdął policzki jak banie w oczach krwią zabłyśniętą... I kończy — „Wszystkim się zdawało, że Józef gra na bębnie, a to w brzuchu mu hurgotało...”

Kandydaci na twórców bardzo często ostro atakują współczesną poezję. Ze nie jest taka jak Mickiewicza i Konopnickiej, że nie ma w niej rytmu i sensu, że do nich nie przemawia. I proponują swoje wiersze, które są prawdziwą poezją „pisaną pod dyktando serca”. Wyznają przy tym, że ukończyli 4 klasy szkoły podstawowej. Piszą i przysyłają nam wiersze 14-latków i 60-latków, uczniowie i mechanicy, nauczyciele i chłopcy, urzędnicy i działacze. Wszyscy czują „nieprzparty pociąg do pisania” i zapewniają, że właściwie piszą tylko dla siebie. Ale przysyłają wiersze do wielu redakcji, proszą, by im pomóc w karierze literackiej i upominają się z góry o honoraria. A później, gdy się im odpowie, że prawdopodobnie nie zostaną sławnymi twórcami obrażają się i udając, że ich to ośmieszanie nie dotyczy ubolewają nad ostrym tonem odpowiedzi redakcji.

Trzeba przyznać, że otrzymujemy również próby literackie nie pozabawione kultury, smaku i wyobraźni. Tych zachęcamy do dalszej pracy, a czasem umożliwiamy im debiut w „Widnokragu”.

Nie mamy zamiaru zabraniać komukolwiek pisać to, na co ma ochotę. Wiemy, że nawet najbardziej kołlawe rymy mogą dać wiele zadowolenia autorom, mogą wywołać zachwyt na imieninach u cioci, mogą ułatwić spędzenie długich zimowych wieczorów. Nie niszczymy więc grafomanów, a nawet odnosimy się z pewnym podziwem do ich uporu i wytrwałości. Ale nie sądzimy, by literatura polska poniosła jakąś stratę z tego powodu, iż odmawiamy drukowania takich utworów.

A wszystkich twórców dyletantów zapewniamy, iż oprócz szczerych chęci zdobycia sławy trzeba jeszcze odrobiny talentu, dużo wiedzy i jeszcze więcej pracy nad sobą.

Jotgiel



ALEKSANDER MALYK — kierownik artystyczny Teatru Młodych ZDK WSK w Rzeszowie

RYS. J. SIENKIEWICZ

## WIDNOKRĄG ODPOWIADA

A. S. ROPCZYCE: „Wyzwalamy Pana z niepewności, o której Pan pisze. Sądymy, że takie utwory, jak np. „I znowu jestem sam, Ty także jesteś sama. Ja jestem tu — Ty tam, Tyś tam, lecz tu jesteś kochana”, nie rokują nadziei na sukcesy w poezji. Koledzy mają pewne podstawy do namawiania się.

S. Z. JAROSŁAW: Coś w tym jest, ale jeszcze to wszystko surowe i niedojrzałe. Trzeba dużo pracy nad sobą i dużo dobrej lektury poetyckiej. W wierszach spotkaliśmy frazy ładne i czyste, ale także naiwne.

P. Sz. JASLIKA: Niestety, nie skorzystamy. Nie odpowiada nam ta nieco prymitywna transpozycja wydarzeń współczesnych na rymowaną przypowieść ewangeliczną.

Ob. W. Z. RZESZÓW: Może i warto myśleć o pracy pisarskiej.

Ala opowiadanie o podrywaczach na razie nie nadaje się do druku. Jest kulturalne, ale zbyt ubogie w realia, zbyt publicystyczne. To raczej materiał do felietonu lub do jakiejś lirycznej impresji. Zbyt łatwo także uporał się Pan z moralą, trochę jak w szkolnej czytance.

G. S. DEBICA: Istotnie wierszyki są zbyt proste i banalne, by można je poważnie traktować. Nie czujemy się na razie upoważnieni do dawania „iskierki nadziei”. Proszę skończyć szkołę, a w przyszłości sama Pani zdecydować czy dalej pisać.

S. R. ROGÓŻNO: Nie dostrzegam Pan w „Widnokragu” poezji przez wielkie „P”. W nadesłanych nam wierszach przez Pana nie ma jej również, nawet przez małe „p”. Co do próby o sprostowanie pańskich poglądów, niestety, nie można jej spełnić. Niech Pan dużo się jeszcze uczy, czyta, interesuje współczesną literaturą, a może Pan sam zdanie zmieni. Jeśli nie — współczesna poezja, to jakoś przetrzyma.

H. J. JASŁO: J. W. JEDLICZE, L. D. — Nie skorzystamy.

# TRUMAN CAPOTE O SOBIE

Tygodnik „Stern” opublikował wywiad ze znanym pisarzem amerykańskim Trumanem Capotem, autorem „Harfy traw” i „Śniadania u Tiffany’ego”.

— Kiedy opublikował pan swój pierwszy utwór?

— Gdy miałem 10 lub 11 lat. W wieku lat 19 otrzymałem pierwszą nagrodę literacką za opowiadanie pt. „Miriam”.

— Został pan sławny już w 23 roku życia?

— Wówczas ukazała się moja pierwsza powieść „Inne głosy, inne ściany”. Rozgłosz zdobyłem dopiero dzięki filmowi.

— Ma pan na myśli „Śniadanie u Tiffany’ego”?

— „Śniadanie u Tiffany’ego” to była tylko niewielka nowela, ale powstał z tego wielki film z Audrey Hepburn w roli głównej. Dla mnie jako dla pisarza stało się to prawdziwym szczęściem.

— Gdzie pisał pan „Harfę traw”?

— Na Sycylii. Mieszkałem tam w starej willi D. H. Lawrence’a, autora powieści „Kochanek lady Chatlerlay”.

— Pisał pan również reportaże dla gazet?

— Tak. Byłem razem z zespołem „Porgy and Bess” w ZSRR i napisałem o tej podróży książkę.

— Wiele pan podróżuje?

— Prawie nigdy nie ma mnie w domu. Mieszkałem w Wenecji, Indiach Zachodnich, w Tangerze. Pisałem wiele o swych podróżach. Najczęściej jednak piszę w Ameryce.

— Jak pan pracuje?

— Należę do cudacznego gatunku pisarzy, pracujących w pozycji poziomej... Mogę myśleć tylko wtedy,

kiedy leżę. Najpierw szkicuję ołówkiem, potem poprawiam tekst i przepisuję na maszynie — wszystko to w łóżku. Następnie chowam maszynopis, który musi się odleżeć parę miesięcy. Wówczas dopiero rozstrzyga się ostatecznie los utworu: albo trafia do kosza, albo powstaje ostateczna wersja.

— Czy dużo pan czyta?

— Tak, przeciętnie pięć książek tygodniowo. Poza tym nalepki na butelkach, recepty, teksty reklamowe, wszystkie gazety nowojorskie i kilka pism zagranicznych.

## Poczucie humoru

(Ciąg dalszy ze strony 5)

na domiar tego jeszcze śmiesznie wykrzywił się, bo go bolało. Czyż nie był to wystarczająco kompromisowy obraz, ażeby patrzącego na to człowieka pobudzić do wybuchu wesołości?

Nie wiem dlaczego nie powtarza się u nas wyświefconych kilkanaście lat temu, a posiadających wysokie walory artystyczne filmów. Takich chociażby, jak wymieniony wyżej film „Cena strachu”, czy dajmy na to „Rzym miasto otwarte” (w jednej ze wstrząsających scen tego filmu, w scenie „przesztuchania” prowadzonego przez nazistów, członkowi włoskiego ruchu oporu przystawiają do pierś palnik tlenowy... wyobrażam sobie ten rżący, zdrowy śmiech, jaki obraz ten mógłby wywołać u naszych młodzieńców nie obciążonych pamięcią tragicznych dni okupacji, a posiadających tak wspaniałe poczucie humoru). Poczucie humoru

## Zdarzenia tygodnia

Uchwała Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Rzeszowie powołała Komitet Honorowy oraz sekcję Komitetu Organizacyjnego „Dni Rzeszowa”.

W ubiegły wtorek odbyło się posiedzenie sekcji spotkań teatralnych, na którym omówiono program prac przygotowawczych do tej tradycyjnej już imprezy w Rzeszowie.

Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie rozpoczęła cykl koncertów muzyki Stanisława Moniuszki, zorganizowany z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego. Na program, który usłyszą mieszkańcy wielu miejscowości woj. rzeszowskiego składają się utwory muzyczne oraz arie operowe i pieśni tego kompozytora. Koncerty prowadzi Tadeusz Chachaj, śpiewa Pola Bukietyńska, prelekje — Zbigniew Bujarski.

Zespół teatralny Zakładowego Domu Kultury WSK w Mielcu wystawił w dniu 17 bm. premierę sztuki Andrzeja Szyplskiego pt. „Śniadanie, obiad i kolacja”. Jest to współczesna sztuka, której kierownictwo zespołu nadało chyba trafny podtytuł: Jeden dzień odpowiedzialnego działacza społecznego. Traktuje ona o kontrowersyjnych postawach ludzi — drugoletniego działacza społecznego i przeciwstawiającego mu się młodego zdolnego inżyniera. Drugi problem to postawa współczesnych rodziców wobec dorastającej dziewczyny i jej stosunek do rodziców.

Premiera sztuki wywołała w środowisku mielckim bardzo duże zainteresowanie i wiele ciekawych głosów.

„Śniadanie, obiad i kolacja” wyreżyserował Włodzimierz Saar, aktor Teatru im. W. Siemaszko, konsultacja reż. Elwira Turka, scenografią Irena Perowska.

Jasielskie Towarzystwo Fotograficzne ogłosiło ostatnio konkurs fotograficzny, mający na celu popularyzację i podniesienie poziomu amatorskiego ruchu fotograficznego w powiecie. Konkurs jest ograniczony tematycznie i można nadsyłać fotografie ze wszystkich dziedzin. Organizatorzy zachęcają jednak do nadsyłania prac związanych z obchodami 600-lecia Jasła.

Wszelkie informacje udziela sekretariat JTF, Jasio, ul. Kościuski. Tam też należy nadsyłać prace.

15 stycznia w klubie kawiarni ZDK WSK Rzeszów odbyły się z udziałem instruktorów teatralnych i zespołów estradowych zajęcia w ramach sceny amatorskiej twórczości artystycznej, której organizatorami są WKZZ i Oddział Wojewódzki Związku Teatrów Amatorskich.

W czasie zajęć wystąpił Teatr Słowa „Meluzyna” z programem według Agnieszki Osieckiej pt. „Zamienie księżyc na parę butów” (piosenki liryczne, uliczne, błażenkie, ballady). W zajęciach uczestniczyła A. Osiecka, która mówiła o swej twórczości z uwzględnieniem działalności w warszawskim STS.

W Wojewódzkim Domu Kultury gościł przedstawiciel Amatorskiego Klubu Filmowego „Gong”, działającego przy WDK w Klecach. Goście spotkali się z przedstawicielami miejscowego klubu filmowego. W czasie spotkania mówiono o realizacji amatorskiego filmu dokumentalnego oraz odbył się pokaz filmów wykonanych przez amatorów z Klec.

Centralna Poradnia Ruchu Amatorskiego w porozumieniu z Naczelnym Zarządem Kinematografii oraz Zjednoczenie Amatorskich Klubów Filmowych ogłosiły konkurs na scenariusz amatorskiego filmu pod nazwą „Hobby XX wieku”.

Tematem scenariusza winno być ukazanie rozwoju kulturalnego osób lub grup społecznych, odzyskanie i utrwalenie elementów kultury ludowej. Udział w konkursie mogą wziąć zresztą i nieczłonkowie filmowcy amatorzy oraz sympatycy amatorskiego ruchu filmowego. Prace można nadsyłać do 30 czerwca br. Blizszych informacji można zasięgnąć w Wydziale Kultury Prez. WRN w Rzeszowie.

21 bm. w sali WDK w Rzeszowie odbył się kolejny koncert Państwowej Orkiestry Symfonicznej, która dyrygował Tadeusz Chachaj. Na program złożyły się utwory J. Haydna, K. Szymanowskiego i Z. Noskowskiego. Z POS wystąpiła solistka Teresa Wołtaszek-Kubiak, laureatka międzynarodowych konkursów w Helsinkach, Tuluzie i Monachium.

człowieka wyciętego z ludzkich uczuć? Nie, chyba nie. Taki wniosek, byłby zbyt pesymistyczny. Ale wobec tego, jak wytłumaczyć chociażby to, że wesołość w człowieku wywołuje widok drugiego człowieka, który potknął się i wywrócił na ulicy, albo też wskutek nieuwagi o coś się uderzył? Poczuciem humoru? Poczuciem humoru, jak również brak poczucia humoru u człowieka, może być powodem radości, ale też i powodem udręki jego otoczenia. W zależności od tego jakiego jest to poczucie humoru r o d z a j u. Parafrazując popularne powiedzenie: „Pokaż, co czytasz, a powiem ci kim jesteś”, można „dojść” do powiedzonka: „Powiedz, z czego się śmiejesz, a powiem ci kim jesteś”, lub „Opowiedz kawał, a powiem ci kim jesteś”.

Albo może, na wszelki wypadek, nic ci nie powiem?

BOGDAN LOEBL